Ner 29. Kraków 1 sierpnia 1867. Rok II.

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania.— Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody i kroje z gotowemi formami i opisami dołącza się każdego 1go. Nuty każdego 15go.

BIURO REDAKCYI i ADMINISTRACYI przy ul. Mikołajskiéj Nr 451 na dole, otwarte codziennie wyjąwszy niedziele i święta od godziny 9téj do 12téj rano

Do numeru dzisiejszego dołącza się dla Prenumerujących **mody**.

Błędy wychowania.

(Dokończenie).

Nieuchronném jest, zwłaszcza w rozwoju swobodnym, najzbawienniejszym w następstwach, iż w różnych chwilach tego rozwoju dziecko wpada w błędy i wady. Na bujnéj roli i chwasty się rzucają, lecz uprawiwszą ją tak, by pożyteczne rośliny miały potrzebne pożywienie; dajmy dobry zasiew, a wyda płody pożądane, które rozrastając się, same zagłuszą i wyniszczą chwasty. Podobnie dzieje się z dzieckiem; często im bogatsza w niém natura i większe zdolności, tém bujniéj pojawiają się i różne narowy w czasie jego wyrabiania się; walka zewnętrzna z temi narowami mogłaby trwalsze złe zaszczepić w młodéj duszy — lecz obudzajmy w niéj tylko szlachetniejsze strony usposobienia, niech one wzrastają, niech ta dusza idzie wyżéj, a wady ustąpią, zniknął. Każda wada jest brakiem zalety, właściwością niskiego stopnia, na którym człowiek stoi; podnośmy go, rozwijajmy zalety, wkrótce niepostrzeżemy się, gdzie się podziały wady.

Przekonania, które tu składam, urosły mi z doświadczenia: lat kilkanaście trudniłam się wychowaniem dziewcząt. W początkach mego zawodu bolałam bardzo nad każdą dostrzeżoną w uczennicy wadą, i choć łagodnemi środki walczyłam z wytężeniem sił, aby ją wykorzenić. I z smutkiem widziałam małe owoce pilnych moich zabiegów. Przy dłuższém doświadczeniu, głębszym rozmyśle i poznaniu młodych usposobień, weszłam na inną drogę. Zamiast bojować ze złém, obudzałam dobre, wzmacniałam je, rozwijałam wyżéj ducha, kształciłam uczucie, a wady ustępowały prawie same przez się. Dla mnie ta droga trudniejszą była niż jest dla rodziców, którzy od początku dzieci wychowują; ja dostawałam je już w różny sposób prowadzone, podrosłe, czasem zaniedbane, czasem z zakorzenionemi oddawna wadami, a przecież dawał mi Bóg tę wielką radość, iż z wzrostem światła i poczciwych uczuć, widziałam znikające wady, i z dziewczynki zazdrosnéj, oskarżającéj drugie, niezgodnéj, kłamliwéj lub upartéj, po roku już nieraz miałam dziecko dobre i miłe, a następnie wyrastała mi z niéj istota szlachetna, miłująca prawdę i ludzi, zgodna, ochraniająca towarzyszki, przejęta świętością powinności, pragnąca życia pożytecznego drugim.

O wiele trudniejszém jest zadaniem dopełniać pracą wychowawczą braków natury ubogiéj, niezdolnéj lub płochéj i lekkiéj; jednakże i w takich razach rozbudzeniem i kształceniem uczucia, umiarkowaném ćwiczeniem sił umysłowych w sposób podniecający je do samodzielności, pilném pielęgnowaniem i rozwijaniem każdego dobrego zarodu, jaki się da dostrzedz, dodawaniem zbawiennych i gruntownych żywiołów, podnoszeniem na wyższe stanowisko, wiele można dokonać dobrego, uzacnić naturę.

Z zadziwiającą szybkością uszlachetniają młode dusze i podnoszą: serdeczna i prawdziwa religijność, miłość Boga i bliźniego i uczucia patrjotyczne; zrzekanie się swojéj jednostki w gorącém pragnieniu dobra wszystkich, w żądzy pracy i służby drugim, najmilszéj ojczyznie.

Nie usiłuję dowodzić, że tylko wychowanie w duchu narodowym, w otoczeniu rodzinném, udzielające gruntowną wiedzę i zamiłowanie rzeczy polskich, zdolne jest wykształcić pożytecznego członka społeczności naszéj a nie toczącego ją robaka; bo uważam tę prawdę jako niewątpliwą, dowiedzioną już aż nadto doświadczeniem i niejedném bieglejszém od mojego piórem.

Nie łagodném, wyrozumiałém obchodzeniem się, nie pieszczotami, nie wczesném usamodzielnianiem młodych psujemy dzieci, ale słabością, która małe dziecko czyni już tyranem domu, nie daje mu pojęcia powinności, ni słuszności, wszystko w niém pochwala, a dogadzając mu nieograniczenie, choćby z niesprawiedliwością dla drugich, wychowuje egoistę. Jak najwięcéj swobody i radości dostarczałabym młodym, ale nigdy kosztem ich uzacnienia i wdrożenia w pełnieniu obowiązków. Nierozumiem, jak może być kiedyś sumienna chrześcianka, obywatelka, żona, matka z panienki, którą otaczają i poją przez najpiękniejsze lata jéj młodości tylko próżnością i lekkością, któréj życie tak jest próżnowaniem i igraniem samém, jak gdyby ono nie miało żadnéj po-

ważniejszéj strony, jak gdyby świat istniał dla jéj zabawy. Nie tylko matka nie podziela z nią obowiązków domowych, gospodarskich, aby jéj nie nudzić i nie trudzić, nie tylko kształcenie się dalsze odrzucone najzupełniéj z szczęśliwém pozbyciem się guwernantek i lekcyj, nie tylko religia i miłość bliźniego są czczém słowem, formą, niezdolną doprowadzić do odpowiedniego działania, a o powinnościach dla ojczyzny i myśli nie ma; ale nawet najbliższe sercu obowiązki dla rodziny, których świętość każdy uznaje, poświęcone bywają zabawie. Chory ojciec lub matka, dotąd nie spuszczaną z oka córkę, wyprawiają z kimś obcym na bal lub do wód, ażeby się bawiła — jéj dnie i noce powinny być oddane czuwaniu na ich usługach, wywdzięczaniu im téj troskliwości jaką ją dotąd otaczali, a oni sami rzucają ją w wir roztargnień, nie pozwalają się pielęgnować, tępią jéj serce ponętami próżności.

Dla czego? „Bo ona młoda, niech się bawi i używa, niech się podoba". Jaką tém krzywdę niebaczni wyrządzają swemu dziecku, o tém rozprawiać byłoby zbytecznêm.

Próżnowanie, to rdza trawiąca wszystko: wartość człowieka, wszystko co w nim piękne i dobre; im w czynniejsze życie wprowadzimy młodych, im wcześniéj otworzymy przed niemi zakres powinności, tém dzielniéj wyrobi się ich charakter, z tém zupełniejszą swobodą młodzieńczą użyją wesołości i zabaw, niesprzecznych obowiązkom. Psujemy córki rozwijając w nich próżność, przez którą dusza maleje, wypróżnia się z zacniejszych dążeń i uczuć; psujemy jeszcze więcéj dzieci, sami wyniszczając w nich prawdę i szczerość. Czynimy to przykładem, czynimy to nawet słowem, upominaniami, aby dziecko grzeczne było przy ludziach, aby starało się dobre o sobie dać wyobrażenie, aby okazywało komuś przywiązanie, którego nie czuje itp. A przecież bez szczerości i prawdy, bez odwagi stanie przy niéj wytrwale, nie ma żadnéj cnoty ni zalety, my „grobami pobielonemi" jesteśmy, według silnych słów Zbawiciela. W wielu to dzieciach szczerych a żywych, zuchwałych złamano naturę, wytępiono szczerość, aby im narzucić ogładę i ugrzecznienie towarzyskie, co można osiągnąć na innéj drodze nie tak drogim okupem. Grzeczność jest formą chrześciańskiéj miłości: dajcie dzieciom prawdziwie chrześciańskie wychowanie, rozwińcie w młodych, skłonnych ku temu duszach, tę wielką i piękną miłość, ten cały zakres Chrystusów, a przy rzeczy znajdzie się i forma, wasze dzieci nie tylko w salonie i przy gościach będą uprzejme i delikatne, ale zawsze i dla każdego człowieka.

Jeszcze pod jednym względem bardzo często błądzimy. Nie tylko wychowując dzieci nie staramy się hartować ich ciało, ćwiczyć siły fizyczne, ale otaczamy je taką miękkością, tak wymyślnemi wygódkami i wykwintami, jak to może nie było w zwyczaju w żadnym czasie. Rozpieszczamy i osłabiamy ciało, dajemy tysiące sztucznych, zbytecznych potrzeb. Podkopujemy przez to, czynimy nieraz niemożebną moc charakteru i ducha, odwagę moralną, które żądają oparcia w siłach fizycznych. Czyż może być niezależnym człowiek mający tysiące potrzeb, do których tak nawyknął, iż łatwiéj niż z jedną z nich przyszłoby mu rozstać się z powinnością. Zdołaż on, w razie, gdyby to było obowiązkiem, mienie swoje poświęcić ojczyznie? czyż nie mogą przyjść okoliczności, wśród których taki człowiek wyrzecze się najświętszych uczuć zaprze przekonań, będzie się czołgał i uniżał, by uratować to swoje miękkie, wygodne życie? Wychowanemu w zbytkach daleko trudniéj o szczęście dla niego, od liczniejszych zależy ono warunków. W razie klęski jakiejś, utraty majątku, wygnania, cóż on pocznie? Kto ma potrzeb mało, a wiele mocy ducha, to i mniéj ucierpi i łatwiéj osiągnie zadowolenie w sobie, stojąc niepodlegle o własnych siłach i dorabiając się chleba. Kto wyrósł wśród usługi, wymysłów, dogadzań, ciało jego rozpieszczone, siły niewyrobione, jakżeż mu ciężko pracować, walczyć z niedostatkiem najpierwszych potrzeb; ni zdrowie nie wytrzyma, ani równie wątła dusza; przyjdzie zrozpaczyć, lub może spodlić się.

Pomyślcie ile to naszych dzieci w zbytkach wychowanych, ginie na Sybirze; czy nie przygotowaliśmy im stokroć cięższych mąk, dając nawyknienie do miękkości, do wykwintnych wygódek?

Jeżeli przy takiém wychowaniu, jakie dzieci nasze biorą, każde pokolenie dostarcza jeszcze zastępu męczenników i bohaterów, to trzeba przypisać tylko niczém niespożytéj szlachetności charakteru narodowego i téj niezawodnéj przyszłości, którą czujemy w sobie żyjącą, a która przynajmniéj w wielkich chwilach podnosi nas nad nas samych.

Ale ta przyszłość byłaby bliższą, krew i cierpienia poświęconych dla niéj, nie spadałaby na nasze głowy, gdybyśmy lepiéj wychowywali dzieci. Synowie nasi byliby zdolni nietylko do chwili wysokiego zapału, lecz do całego życia dzielności i cnoty obywatelskiéj. Nie mamy ojczyzny na karcie Europy, całe jéj życie w nas i naszych dzieciach, to też powinno być pulsem nieustannie w nas bijącym i przewodniczyć każdéj chwili w wychowaniu młodego pokolenia. Niech między niém nie będzie już tych brzydkich i nikczemnych pasożytów, co biorąc wszystko od rodzimej ziemi i narodu, nic mu w zamian nie dają, nie poczuwają się nawet do żadnych obowiązków dla organizmu, z którego życie czerpią. Wychowujmy tak synów jak córki na obywatelów kraju, na ustawiczną i dzielną temuż służbę. Kto prawdziwym chrześcianinem to i obywatelem, bo mógłżeby miłować każdego bliźniego, a nie kochać ogółu, rodaków, nie przenosić ich dobra nad osobiste, nie służyć mu całą duszą?

Urywamy tu, rzuciwszy kilka spostrzeżeń tyczących się najpowszechniejszych u nas błędów wychowania. Całości tegoż nie zmierzaliśmy objąć, nie czujemy się na siłach odpowiedzieć tak wielkiemu zadaniu.

F.

„Odpuść nam jako i my odpuszczamy".

(SZKIC POWIEŚCIOWY)

napisał ***Elpidon***.

I.

W jednym z pierwszych dni stycznia roku 1863, kiedy już się nieco zmierzchać zaczynało, wyszedł z ulicy Gołębiéj jakiś wywiędły staruszek w ciemnozielonym surducie, w czapce wciśniętéj mocno na uszy — skręcił w ulicę Mostową ku Rybakom i utykając po nierównym bruku, rozglądał się po starych i obdartych kamieniczkach. Kamieniczki te dziwnych kształtów i kolorów stoją, z powodu nagłéj spadzistości ulicy ku Wiśle tak obok siebie, że jedna zdaje się włazić na dach drugiéj. Przed jednym takim domkiem zatrzymał się staruszek. Domek był niewielki, brudno-różowego koloru z zielono przemalowaną furtką, do któréj wchodziło się po trzech schódkach kamiennych dobrze już wydeptanych i rozpękniętych. Domek miał jedno piąterko o trzech oknach i poddasze. Na dole obok furtki czerniły się dwa okna gęsto okratowane i zarosłe powojem, między oknami przylepiono kartkę, na któréj koszlawo i nieczytelnie było wypisane: „Stancja na górce każdego czasu do wynajęcia". — Staruszek wspiął się na palcach, przeczytał kartkę, przypatrzył się pilnie powierzchowności domu, zdawał się przez chwilę wachać i namyślać, wreszcie zastukał. Stróżka, którą zapytał o mieszkanie, poprowadziła go po ciemnych i ruszających się schódkach na górkę, rodzaj stryszku, i otworzyła drzwi do izdebki, z któréj szedł niemiły zapach brudu. Staruszek obejrzał izdebkę, dał zadatek i tego samego wieczora wprowadził się tam, wnosząc z sobą niewielki tłumoczek i stary parasol. — W izdebce nie zastał także wiele gratów: stolik drewniany, zabrudzony stołek z wyłupaną deską środkową i zielony kuferek bez wieka, na spodzie którego leżał zakurzony kawałek papieru zapisanego i oderwany daszek od czapki, zapewne pozostałości po poprzednim lokatorze. Staruszek jednak nie przypatrywał się wcale swemu nowemu mieszkaniu: dobył z tłumoczka świecę, przylepił ją na brzegu stolika, tłumoczek wrzucił do kuferka — potém zamknął izdebkę na klucz, usiadł na stołku, spuścił głowę na dół i siedział tak nieruchomy, zamyślony. Głowę miał ogoloną, twarz jego była żółta jak ciemny wosk i wynędzniała, wychudła tak, że szczęki znać było przez skórę — a w koło oczów, na skroni, pod kościami policzkowemi potworzyły się duże, ciemne zapadłości. Widocznie staruszek nie dawno jakąś ciężką przebył chorobę. Usta jego wązkie i zaciśnięte zsiniały od zimna, bo stancyjka była nieopalona, a na brudnych szybach okienka mróz rysował kryształowe kwiaty. Staruszek jednak zdawał się nie czuć, nie słyszeć, jak siadł tak siedział nieruchomy, sztywny, podobny do zasuszonéj mumii. O czémś bardzo przykrém musiał się tak zamyśleć, bo usta jego skrzywiły się, jakby po zażyciu gorzkiego lekarstwa. Ten pospiech z jakim się wprowadził, pozwalał się domyślać, że staruszkowi pilno było uciec przed ludźmi w ustronny kącik, że od świata niczego już nie chciał, tylko zapomnienia. — I rzeczywiście nikt się u niego nie pokazał, nikt o niego nie pytał. Całe dnie prawie przesiedział u siebie zamknięty, czytając jakieś stare księgi, lub robiąc z nich wypiski; wychodził rzadko i to zwykle w miejsca odludne, nad Wisłą. Do kościoła nie chodził nigdy, co bardzo gorszyło mieszkańców małego domku i odstręczało od niego, równie jak jego twarz zawsze ponura i surowa i siwe oczy unikające wiecznie wzroku ludzkiego. A jednak nieraz wieczorem można go było widzieć w izdebce modlącego się na klęczkach; tylko gdy w modlitwie dochodził do słów: „i odpuść nam jako i my odpuszczamy", urywał modlitwę, marszczył ponuro twarz i prędko wstawał z ziemi. — Mieszkańców kamieniczki rozciekawiło życie tego tajemniczego, milczącego staruszka. Jednego razu żona stolarza, mieszkającego na tém samém poddaszu naprzeciwko, nie słysząc przez pare dni najmniejszego ruchu w jego mieszkaniu, w obawie czy nie zachorował, zastukała do niego. Otworzył drzwi i szorstko, niecierpliwie spytał, czego chce. A gdy zlękniona kobiecina poczęła się tłomaczyć, iż myślała, że może czego potrzebuje — odrzekł:

— Moja acani, ja nie cierpię ciekawych — i zatrzasnął drzwi przed nią.

Stolarka uważała, że był bledszy i mizerniejszy i oczy miał czerwone.

Odtąd nikt nie poważył się zaglądać, ani przemówić do niego — omijano go w milczeniu i nazwano m r u k i e m.

Jednéj nocy wpadli żołnierze do mieszkania stolarza, wpół ubranego wywlekli z łóżka i porwali do cytadeli na rekruta. Żona zrobiła krzyk straszny, który wszystkich zbudził; powychodzili z izb mieszkańcy i lamentowali nad biedną stolarką i płaczącém dzieckiem, litowali się i pocieszali. — Tylko drzwi staruszka nie otwarły się wcale.

Po paru dniach skutkiem starań i próśb żony, wypuszczono stolarza, którego tylko przez pomyłkę wzięto — i w domku przy ulicy Mostowéj znowu było cicho i spokojnie jak dawniéj. Staruszek rad był z tego, bo nie lubiał krzyków i hałasu, szczególniéj po nocy. To też zdziwiło go nie mało, gdy jednego wieczora

znowu ktoś zapukał do jego drzwi. — Nie chciał otworzyć, ale gdy pukanie się powtórzyło, zniecierpliwiony odemknął.

Wszedł stolarz. — Staruszek chciał go już wypchnąć za drzwi, ale nie śmiał czegoś; ten człowiek prosty miał w téj chwili w twarzy coś tak niezwykłego, uroczystego, że staruszek cofnął się, jak przed sakramentem.

— Czego acan chcesz odemnie? — spytał po chwili.

— Panie, my dziś w nocy wychodzimy z Warszawy w Kampinowskie puszcze bić się za ojczyznę. Moja żona zostanie tu sama z dzieckiem — może nie wrócę — opiekuj się pan niemi, by nie skapały marnie — mówił stolarz mnąc czapkę w rękach.

Staruszek odwrócił się ku świecy, niby coś dłubał, poprawił koło niéj, a ręce mu drżały trochę, widocznie był pod wrażeniem jakiegoś wzruszenia.

— A mnie co do acana żony i dziecka — odezwał się po chwili opryskliwie. — Chcesz żeby nie skapały marnie — to siedź i pracuj.

— Ja przysięgałem panie, że pójdę.

— I zginiesz.

— To darmo. Ale memu dziecku będzie lepiéj, jak mnie, jak nam teraz.

Staruszek nic nie odpowiedział — stolarz wyszedł dotknięty chłodem i zatwardziałością jego.

Staruszek zamknął drzwi i trzymając rękę na klamce, spuścił głowę i zamyślił się nad czemś. Słowa tego prostego człowieka zastanowiły go i wzruszyły. Trwało to jednak tylko chwilę; potém puścił klamkę, zasunął drzwi i wrócił do stolika czytać daléj.

Koło północy drzwi cicho się otwarły naprzeciwko, słychać było stłumione łkanie żony stolarza, ostrożne stąpanie po skrzypiących schódkach, otwieranie furtki. Potém w mieszkaniu stolarza stał się łoskot głośny, jakby ciała upadającego na podłogę z przeciągłym jękiem — poczém wszystko ucichło.

Staruszek ruszył się, jakby chciał wstać i iść — ale nie podniósł się, wypłowiałe oczy jego zatrzymały się na migotliwym płomieniu świecy — może dumał, może nasłuchiwał, ale nie poszedł tam. — Czemu? — Co zrobiło tego kościstego staruszka tak zatwardziałym, nieczułym? Nie długa to, ale smutna historja tego zamrożenia serca.

Są ludzie, którym całe życie przechodzi bez uśmiechu, u których nieszczęście rozsiadło się jak kurz i pajęczyna w opustoszałym domu i trzyma ich twarze wiecznie w ciemnym kolorycie smutku. Choroby, zmartwienia, zawody kładą się im na drodze, czepiają się ich nóg, plączą ich, kolą, ranią i męczą, aż zeszpecą serca. Czy to konieczne zadosyćuczynienie za jakieś stare grzechy, czy poprostu fatalny zbieg przypadków — nie wiem. Niech każdy sobie odpowie na to, a ja tymczasem odsłonię wam przeszłość staruszka.

II.

W okolicach miasteczka Rawy w smutnéj równinie leży wioska w koło lasami otoczona. Grunt piaszczysty i nieurodzajny pełen jest drobnych kamieni, które rolnicy przy orce lub włóczce odrzucają na bok — na miedzę, z czego potworzyły się kopce, wyglądające z daleka jak kurchany. To nadaje okolicy i tak już niemiłéj i zacienionéj lasami, charakter ponury, cmentarny.

Na tych kamienistych kurchanach widywano nieraz dwoje dzieci bawiących się; ale nikt nie słyszał nigdy ani ich wesołych krzyków, ani rozmów, porozumiewały się tylko na migi, bo jedno z nich małe, pokrzywione i garbate, było zarazem głuchonieme. Były to dzieci właściciela téj wioski. Na młodszego wołano: „Kaziu“, na starszego garbuska nie wołano wcale i został bezimiennym.

Czasami z sąsiedniéj wioski przyjeżdżał do nich na kucyku synek sąsiada Julek, wesoły i żywy chłopiec. Kazio witał go zawsze z radością i zapominał wtedy o garbusku, który posmutniały zostawał na boku. Ale nie długo potém Julka rodzice sprzedali wieś i przenieśli się do Warszawy i garbusek znowu bawił się z bratem, służąc mu i nadskakując jak najwierniejszy pies.

Obu chłopców dotknęła ciężka strata. Jednego razu matka zabrała ich z sobą jadąc do miasteczka za sprawunkami. Już mieli wracać do domu, kiedy matka przypomniała sobie, że nie wstąpiła na pocztę. Kazała więc woźnicy zejść po listy, a sama przytrzymała jedną ręką lejce, a drugą głaskała Kazia, który był jéj ulubieńcem. Garbusek siedział naprzeciw i patrzał na matkę oczami, w których łzy się szkliły. Kaziowi było trochę zimno, matka chciała go otulić, wtedy wysunęły się jéj lejce z rąk i upadły między konie na dyszel. Konie poczęły się niepokoić — matka przechyliła się naprzód, by dostać lejce, straciła równowagę i spadła. Przelęknione konie zerwały się, szarpnęły bryczką i uniosły ją. Kazio słyszał jęk matki pod kołami, garbusek nie słyszał, ale czuł, jak bryczka utknęła o jakąś zawadę i podniosła się. Szalony pęd koni, gwałtowne podskoki bryczki oszołomiły dzieci: one uczepiły się wzajem konwulsyjnie, by nie wypaść. Tak zajechali w pędzie przed ganek. Przytrzymano konie; — na bryczce leżał Kazio omdlały z przelęknienia, a garbusek rękami coś pokazywał, ale go nikt nie zrozumiał. W nocy nadciągnął z miasteczka wóz z ciałem i ten wszystko powiedział.

Od owéj katastrofy, która głęboko wpisała się w pamięci dziecka, we dworze było posępnie, niemiło. Ojciec zapadł w stan ponuréj apatyi, rodzaj melancholii, gospodarstwo szło zaniedbanie, dwór niszczał, ogród zdziczał i zarósł zielskami. W takiéj pustce cmentarnéj chował się młody Kazimierz bez pieszczot, bez uśmiechu, smętny, poważny nad wiek. Ksiądz wikary uczył go

nieco histori i łaciny, a wtedy garbusek siadywał zwykle w kącie i patrzał dziwiąc się czemu tak ciągle bratustami ruszał i niecierpliwił się, że nie ma się z kim bawić. To ślepe przywiązanie idioty nie tylko nie sprawiało przyjemności Kaziowi, ale nawet było mu ciężarem i unikał garbuska, często wyjeżdżając z domu. Gdyby się zapytano Kazimierza o powód tego wstrętu, nie umiałby może odpowiedzieć, a jednak była ona uzasadnioną. Pokrzywiony głuchoniemy był dla niego żywém upostaciowaniem nieszczęść, jakie się czepiły ich domu, przez te potworne kształty los zdawał się szyderczo uśmiechać i urągać. Unikał tego widoku, który zawsze niemiłe myśli w nim budził. Ten wstręt z latami zwiększał się, a bardziéj jeszcze po śmierci ojca. Kazimierzowi było wtedy nieznośnie siedzieć dłuższy czas z garbuskiem, jego giesta drażniły go i niecierpliwiły, chciał sobie i téj przykrości oszczędzić. Jednego dnia zdziwił się głuchoniemy, ujrzawszy tylko jedno nakrycie na stole. Wytłómaczył sobie, że to dla brata, że o nim zapomniano, i usiadł opodal czekając, zamiast brata, którego się spodziewał, wszedł lokaj z wazą, nalał i kazał mu jeść. Garbusek niemogąc się dopytać co się z bratem stało, zaniepokojony o niego, pobiegł do jego pokoju. Otworzył drzwi i zobaczył brata siedzącego przy obiedzie. Musiał się domyśleć, co było powodem tego odosobnienia, bo odszedł smutny. Nie wrócił już tam, gdzie dla niego nakryto, ale poszedł do ogrodu i usiadł nad stawem w altanie. Czarny pies domowy przywlókł się za nim, położył się u nóg jego i usnął. Nie długo grzbiet psa był cały mokry od łez, które garbuskowi kapały gęsto z oczów.

Odtąd nie chodził już tak uprzykrzenie za bratem, nie narzucał mu się, owszem gdy go widział chodzącego po ogrodzie, krył się przed nim w zarośla nad rzeką lub w inną uciekał stronę. A jednak nocą można go było widzieć nieraz skradającego się pod okna brata i zaglądającego do oświeconego pokoju oczami pełnemi miłości i przywiązania. — Raz patrząc tak, dostrzegł, że Kazimierz pakuje się do drogi. Na drugi dzień widział go przez sztachety ogrodu wyjeżdżającego z domu. — Jakieś majątkowe interesa spowodowały ten wyjazd jego w Krakowskie. — Po kilku tygodniach wrócił.

Głuchoniemy brat jego uważał, że wrócił jakoś ożywiony i weselszy; kazał przebudować dwór, urządzać ogród, sam zajmował się bardzo gospodarstwem. Po kilku miesiącach wyjechał znowu i to na dłuższy czas — garbusek począł się już obawiać o niego, przypuszczał, że mu się coś złego stało, chciał się pytać służących, ale nie umiał. Biedny garbusek, był jak nieme zwierzę, tylko po jego mizernéj twarzy można było poznać, że cierpi, nie wiedząc, co się dzieje z bratem.

Jednego wieczora siedział długo przed bramą wartując jak pies, ręce założył na kolana, oczy obrócił na księżyc i płakał. Kiedy potém spojrzał na drogę, zobaczył, że coś czarnego posuwało się szybko ku niemu, gdy się zbliżyło bardziéj, poznał, że to był powóz, zerwał się i leciał naprzeciw. Zdyszany, zmęczony dopadł powozu, chwycił się drzwiczek i wsunął tam głowę. Nagle cofnął się i odskoczył. W powozie nie sam był brat, obok niego siedziała jakaś kobieta biało ubrana. Powóz właśnie zatrzymał się przed gankiem, służący wyszli ze światłem, głuchoniemy więc ukryty w cieniu za filarem, mógł się jéj dobrze przypatrzyć. Wśród tiulów i gazy przezroczystéj zobaczył twarz lekko różowawą z umęczenia, a taką piękną, jakiéj w życiu jeszcze nie widział, oczy miała ciemne, duże, błyszczące, włosy w gęstych puklach wiły się koło białego czoła. Niemowa przestraszył się pięknością téj kobiety i uciekł w ogród.

Na drugi dzień spotkał ją razem z bratem spacerujących nad stawem, chciał znowu uciekać, ale oczy téj cudnéj kobiety zaczarowały go na miejscu, że ruszyć się nie mógł. Nowożeńcy zbliżyli się. Kazimierz pokazał żonie ręką brata, coś mówił jéj o nim. Spojrzała się na niego przechodząc, ale wnet odwróciła twarz z odrazą i poszła daléj. Garbusek stał długo jeszcze jak wryty po jéj odejściu, z oczami głupkowato wytrzeszczonemi — aż gdy znikła w alei, odetchnął jak człowiek, co z ciężkiego snu się przebudzi.

Ta chwila miodowych dni była jedyną jasną chwilą w życiu Kazimierza — a była to wiosna. Ziemia pełna kwiatów, woni, słońca i latających motyli — i jego dusza była taką. Czarne oczy kobiety trzymały ją w ciągłym zachwycie, upojeniu. Zapomniał o ponurych świerkach, co zaciemniały grobowiec rodziców, pochmurane dni dziecinnych lat wydawały mu się jak sen ciężki, bolesny, po którym przebudził się w różowym poranku i odetchnął powietrzem różowém, balsamiczném.

I żona jego również zdawała się być szczęśliwą, uśmiechniętą; tylko widok niemego nieprzyjemne robił na niéj wrażenie, drażnił ją i przestraszał. Kazimierz obiecał jéj, że go oddali, szukał tylko sposobu jak i gdzie, bo nie mógł go wypędzić jak psa za wrota, sumienie upominało się za bratem, gdy serce już zapomniało o nim.

Tak stały rzeczy, gdy jednego dnia wszedł na podworzec przed ganek dworu jakiś człowiek obdarty i zakurzony. Był jeszcze młody, kształtny i przystojny, ale urodę skalało zepsucie i wyraz jakiegoś obrzydliwego cynizmu. Ubiór i twarz tego człowieka nosiły na sobie ślady lepszéj przeszłości — oboje wytarły się życiem. Stanął przed gankiem i prosił o wsparcie.

Kazimierz wyszedł ku niemu — obadwaj przypatrywali się sobie długo, uważnie, z zadziwieniem — w końcu gospodarz wyrzekł nieśmiało, z wahaniem:

— Julian.

— Ja — odrzekł przybyły patrząc mu w oczy bezczelnie, bez zarumienienia i wstydu.

Był to Julek, ów, który na kucyku jeździł niegdyś bawiąc się z Kaziem.

— Co się z tobą stało? —

— Straciłem majątek — jestem dziadem, póki nie będę panem.

Kazimierzowi ścisnęło się serce — wziął go za rękę i rzekł:

— Chodź ze mną.

Ugościł go, oporządził, trzymał przez kilka dni u siebie, potém powiedział:

— Zostań u mnie, bądź mi przyjacielem.

(Ciąg d. n.)

Grób i Róża.

(OBRAZEK WIDZIANY PRZEZ GAŁĘZIE WIEJSKIEGO SADU.)

Białe filary dworskiego ganku, wychodzącego na ogród. Przez otwarte drzwi szklanne widać bielone ściany pokoju. — Marja-Róża siedzi na progu z książką na kolanach. — Nieco opodal Bolesław.

BOLESŁAW.

O czém tak dumasz siostro z pochyloną głową? —
Puściwszy na ramiona twoją kosę płową,
I mając na kolanach tę księgę rozwartą,
Wyglądasz niby wieszczka nad tajemnic kartą.

MARJA-RÓŻA.

Może ty zgadłeś bracie, i może w téj chwili
Duch mój wielkich tajemnic pieczęć zdjąć się sili;
Posłuchaj mnie: znęcona tym słońca zachodem,
Co falami smug złotych igrał nad ogrodem,
Usiadłam tu, lecz nie wiem czemu roztęskniona,
Czy szmerem, który lipa słała mi zielona,
Wzięłam książkę i z wonnym bawiąca się kwiatkiem
Słuchaj na co szczególnym trafiłam przypadkiem.

(czyta.)

Grób i Róża *).

Grób mówił róży: „Kwiecie miłosny,
„Gdzie podziewasz te perły wiosny,
„Któremi zorza cię rosi?"
Róża mówiła: „Przepaści ciemna,
„Gdzie garnie twoja tajnia podziemna
„Tych, których blada śmierć kosi?" —
I róża rzekła: „Grobie ty! grobie!
„Ja wonny balsam, złoty miód robię
„Z każdéj łzy ranka srebrzystéj".
Grób odpowiedział: „Z ciemnic mych łona,
„Skrzydła na śnieżne biorąc ramiona,
„Anioł unosi się czysty". —

BOLESŁAW.

Piękny, piękny wiersz siostro....

MARJA-RÓŻA.

Lecz bracie mój drogi,
Wiesz ty o co on polskiéj dziewczyny niebogiéj
Zapytał, harmonijną rymów swoich mową?
Ty, co pod drzew szumiących zielenią majową
Siedzisz w czarnéj twéj sukni jak anioł żałoby,
Cobyś odpowiedziała gdyby kiedy groby
Zapytały się nagle jako róży kwiata:
Dziewczyno! jaki dział twój w wielkiéj pracy świata?

BOLESŁAW.

Niejeden raz już one pytały mnie o to:
Niejeden raz z synowskiéj miłości tęsknotą
Padałam drżącą piersią na ich zimne głazy,
Rzucając w cienie nocy strasznych słów wyrazy!...

MARJA-RÓŻA (wstając).

Ja wiem co ty schylony ku spruchniałéj trumnie
Grobom dziadów rycerzy mogłeś mówić dumnie,
I w ofiarniczéj bieli z nagiéj piersi twojéj
Wydawać tym szkieletom z pod żelaznéj zbroi.
Ale jeźli krzyż stary, co tam trzyma straże,
Mnie nagle do spowiedzi takiéj klęknąć każe,
Zaliż głos mój ginący w piersi rozpłakanéj,
Mówić będzie o ząbkach chusteczki dzierganéj,
I rozłożywszy rzędem batystów swych rąbki,
Policzy na nich wszystkie dziurki i obrąbki,
Co między gotowalnią moją a piosenką
Jak skrzętny pająk snułam pracowitą ręką?

BOLESŁAW

Dziecko! duchby przeszłości nie dosłyszał ciebie,
A anioł, który szalę naszą trzyma w niebie
Nieby nie miał nań rzucić w rachunku godzinie...

MARJA-RÓŻA.

Gdzież więc pójdzie łza, co mi teraz z oczu płynie?
Czyliż to nic nie waży przed obliczem Boga?

BOLESŁAW.

Z takiéj łzy siostro może stać się perła droga,
Jeźli jak Koncha weźmiesz ją do serca głębi,
Gdzie już próżność nie sięga, ani lekkość ziębi,
Bo ta łza, to już pierwsza praca twego ducha.

MARJA-RÓŻA (z płaczem).

Lecz bracie mój! ja nic mam nic!... nic! prócz miłości....

BOLESŁAW.

Siostro! temś powiedziała: ja jestem bogata,
Nad wszystkie pany, wszystkie władze tego świata,
Skarbem, którego ceny Bóg tylko zna miarę!
Powiedziałaś: mam miłość — tojest: mam ofiarę,
Siłę, męztwo, wytrwałość i cudu potęgę.
Rzuć tę kart cudzoziemskich szeleszczącą księgę,
Otrzéj łzy, co strumieniem płyną ci na lica,
I powiedz: cóż ta biała, jasna ofiarnica,
Co z wieńcem poświęconéj kaliny u skroni,
Wstaje w północ majową z nad wiślanéj toni,
Miała więcéj nad miłość?...

MARJA-RÓŻA.

Mój bracie! mój bracie!
Ty w królewskim twéj mezkiéj dumy majestacie,

Rzucasz mi takie słowa, co jak iskry parzą,
Cóż będzie, kiedy z bladą jak ta Wanda twarzą,
Powiem ci kiedy bracie, że już żyć nie mogę
Mojém życiem wczorajszém! Gdzie ty znajdziesz drogę,
Coby cicho niewieścim i domowym szlakiem,
Zdołała mnie niebogę wieść za celem takim,
Jakim ty nieopatrznie migoczesz przedemną
Jak ognik, kiedy nocą zapala się ciemną?
O doprawdy... doprawdy ja byłam szalona!...
Poeta kroplę jadu wsączył mi do łona,
A ja połowę mojéj dałam ci zarazy.
Czasem tak rozkołyszą te brzmiące wyrazy,
Że się człowiek sam sobie czémś wielkiém uroi.
Mnie i tak już w tęsknocie dziwnych niepokoi,
Bóg sam wie co niekiedy przychodzi do głowy....
Czasem w jaką noc cichą, w wieczór księżycowy,
Gdy się pomodlę za tych co walczą, co giną,
Żar mi lica oblewa, łzy strumieniem płyną,
Chcę gdzieś iść, kędy bieżyć, oddać choćby życie,
Za to święte, to drogie, co tak kocham skrycie.
Ale kiedy po świecie obejrzę się w koło,
Ku piersi ochłodzone pochyla się czoło,
I szepczę, ręką drżącą przyciskając łono,
Cicho! cicho nieboga! nie tobie sądzono!
I nazajutrz znów rankiem stawam przed zwierciadłem,
Utrefię złote kosy nad licem pobladłém,
Zaśpiewam jak uczony kanarek wśród klatki,
Wysnuję łokieć takiéj jak pajączek siatki,
A kiedy mnie znów jakichś dum chcą porwać czary,
Skubię sobie stokrotkę i liczę do pary....

BOLESŁAW.

Słuchaj dziecko: ta boża myśl, która w naturze,
Na pracownicę swoją wzięła losów różę,
Za cóż w czczość wiecznéj próżni strąciłaby ino
Ciebie smutna ich siostro, o polska dziewczyno?
Ale może ty myślisz: jam pąk nierozwity.
Niechaj jeszcze poczekam na miano kobiety,
I za wieniec dziewiczy, co mi stroi skronie,
Stanę u stóp ołtarza w miłości koronie:
Wtedy zacznę odrabiać ten mój dług mozołu,
Który anioł téj ziemi, zebrawszy pospołu
Z pracą całego ludu, musi raz przeważyć.
Dziewczyno będę tęsknić, rwać kwiatki i marzyć,
Aż niewiasta mój ciężar wezmę na ramiona,
Jak strażnica rodziny, jak matka i żona.
Nie siostro — pierwsza młodość, to jak pierwsza wiosna
Najbogaciéj kwitnąca — najświęciéj miłosna!
Kto się w niéj nie ogrzeje serdecznym zapałem,
Już tylko zimnym głazem będzie w życiu całém.
Wreszcie każda godzina musi ziścić swoje....

MARJA-RÓŻA.

Dobrze bracie — ja drżąca w srebrnych łzach mych stoję,
I taka jakbym miała słyszeć wyrok Boga,
Wołam na ciebie: kędyż droga moja? droga?

BOLESŁAW.

Biedaczko! przez tę twoją sierocą sukienkę
Do bijącego serca drżącą przyłóż rękę
I rzuciwszy błękitnych oczu twych spojrzenie
Za drzew cienistych smugi, białych kolumn cienie,
Szukaj czy jéj gdzie blisko... blisko ciebie nié ma?...

MARJA-RÓŻA.

Bracie! ja skąpanemi w świeżych łzach oczyma
Widzę tam tylko nizkie pochylone chaty....

BOLESŁAW.

A nad niemi czy anioł jest jaki skrzydlaty?

MARJA-RÓŻA.

Nad niemi tylko słońce zachodzące świeci...

BOLESŁAW.

A bose, w przepasanych koszulinach dzieci,
Siedzą na progu patrząc za têm zbladłém słońcem,
Co cały dzień bieliło swym żarem palącym
Włoski ich, tylko tchnieniem trefione wietrzyka.
O gołogłowa dziatwo polskiego rolnika,
Zaliż ty nie biedniejsza niż owe wróblęta
O których dłoń opatrznéj przyrody pamięta,
Rzucając im po drodze robaczki i muszki.
Zaledwo cię w szmat grubéj spowito pieluszki
Już głód idzie cię witać ostrym zębem swoim.
Gdy mléko matki z gorzkim pomieszane znojem
Wzbiera w piersi nad twardym schylonéj zagonem.
Lecz to nic, że w kolebce za karmiącém łonem,
A potém za kawałkiem będziesz łaknąć chleba:
Tobie boleści głodów cięższych przebyć trzeba,
Bo świętą karmią ducha nikt cię nie posili.
Ty, jak ta biała brzoza, co się płacząc chyli
Wśród ciemnoty i nędzy zaklętego koła,
Nigdy cierpiąc znojnego nie podniesiesz czoła.
Wszystko to, co świętszego w piersi twéj uderzy,
A przez co ludzkość kocha, myśli, walczy, wierzy,
Ty to w sobie bezwiednie zniszczysz i zadusisz.
Boś ty pół-zwierz roboczy — ty pług ciągnąć musisz
Ażeby inni białe mogli mieć kołacze....
Dziatwo kmiecia! ja patrzę na ciebie i płaczę,
Boś ty bosa i głodna, odarta i brudna!
A to com śnił, dla ciebie widać jest rzecz złudna,
Bo ta oto dziewczyna z modremi oczyma,
Gdym pytał o anioła, powiedziała — niéma!...
Niema go — do chat nizkich pod słomianą strzechą
Nikt nie zstąpi z miłości siostrzanéj pociechą...

MARJA-RÓŻA.

Cicho! cicho mój bracie! w jasném swojém niebie,
Niechaj już Bóg słów takich nie słyszy od ciebie,
Ani ich echo jakie poda wiatrów tchnieniu.
Tam, gdzieś postać niebiańską widział w objawieniu,
Stanie dziewczyna polska, cicha lecz wytrwała,
I w łez swych czystych rosie, jak ta róża biała,
Którą poeta wyśnił kwitnącą na grobie,
Powie duchom swych ojców: ja ten balsam robię,

Który naród mój kładzie na swe stare rany.
Błogosław mi! błogosław bracie ukochany!
Bo ta oto, co wczoraj nie widziała prawie,
Czy nie jest ładną lalką w salonów wystawie —
Dziś poczuła się w świecie pracownicą bożą.
Przedemną te schylone chaty się otworzą,
Do mnie przybiegną rojem te dzieciątka bose:
Sprawiedliwość im musi dać chleb, ja przyniosę
Swiatła Bożego, chociaż mały promyk złoty.
I jak po jednéj matce zostałe sieroty
Uściskam je, do piersi przygarnę siostrzanéj.
O tak jam jest bogata w ten skarb nieprzebrany,
Co się zowie miłością. Och! on w sobie mieści
Wszystko — aż do pokornéj téj cnoty niewieściéj,
Co miano cierpliwości nosi; lecz jest przecie
Zawsze tylko miłością. Jak to cudu kwiecie
Co w bajce wszystkich zamków wrzeciądze odmyka —
Ona to musi ze mną iść na pomocnika,
Aby ta, co nad wszystkie twardsze jest żelaza,
Zmiękła od wiecznéj krzywdy pamięć i uraza.

BOLESŁAW.

Wtedy o siostro moja nie schylaj ty czoła,
Chociaż na cię głos Boga samego zawoła,
Pytając, co w téj wielkiéj godziny momencie
Do prac narodu twego masz dorzucić święcie.
Bo możesz już powiedzieć: Boże! ja z miłości
Dla téj ziemi, co kryje ojców moich kości
Nie mogłam umrzeć śmiercią Wandy, ani owéj
Kapłanki Izraela, téj córki Jeftowéj,
Co w nieskalanéj bieli swéj szaty dziewiczéj
Jak lilja się na ołtarz dała ofiarniczy.
Jednak ja Tobie za nią przynoszę w ofierze,
Nietylko łzy bezsilne, nietylko pacierze,
Które słałam ku Tobie z ojców moich wiarą.
Bom ja Panie pomogła zamknąć bliznę starą,
Przez którą w pierś skrwawioną wielkiego narodu,
Za ciężki, pierworodny grzech mojego rodu
Sączył się nienawiści jad, trujący życie.

MARJA-RÓŻA.

Bracie! Bracie! w tym cichym powietrza błękicie
Głos twój brzmi jak proroctwo. O powtórz je jeszcze,
Powiedz mi, że w téj wielkiéj, w téj świętéj robocie,
Do któréj się mój naród w krwawym dźwiga pocie,
Jest coś i dla mnie biednéj, nieśmiałéj dziewczyny.
O jak łzy gwałtem płyną!... mój bracie jedyny,
Jak serce w piersiach bije!... Puść me dłonie drżące,
Niech upadnę na ziemię, niech usta gorące
Przycisnę, jak do piersi matczynéj sierota!...

BOLESŁAW.

Marjo-Różo! czy widzisz, jaka łuna złota
Oblała ten sad cichy i chat nizkich czoła?
Marjo — Różo! Ażaliż Bóg zesłał Anioła,
Co ma być pośrednikiem téj biednéj krainy?

MARJA-RÓŻA (klęcząc).

Ojcze! któryś jest w niebie, odpuść nasze winy —
Daj nam królestwo twoje, a gdy się to stanie,
Już chleba powszedniego wystarczy nam Panie.

W Mokotowie, 10 września 1862 roku.

Marja Ilnicka.

Germaine Staël.

(ŻYCIORYS.)

Po wielkich przejściach, które zmieniły postać społeczeństwa, dobrze jest oglądać się za siebie, zatrzymywać się myślą na wybitniejszych szczytach widnokręgu historycznego i zastanawiać się nad pewnemi wielkiemi postaciami, które niby bóstwa owéj epoki występują. To uosobistnianie ducha czasu w sławnych indywiduach, jakkolwiek na oddaleniu zyskuje, nie jest jednak czystém złudzeniem perspektywiczném. Oddalenie ogładza i wypełnia przedmioty, ale ich nie tworzy. Każda chwila społeczna ma przedstawicieli naturalnych i prawdziwych; lecz im daléj, tém ich liczba się zmniejsza, szczegóły się uproszczają i zostaje zwykle jedna górująca postać.

Rewolucja francuzka, która w wszystkich przejściach swoich obfituje w wielkich ludzi, ma i kobiety swoje bohaterskie i świetne, których imię łączy się z różnemi przejściami i przemianami rewolucyjnemi. Starożytne familije francuzkie miały swoje dziewice i kobiety, których więzienia i rusztowania opromienia żywy blask. I mieszczaństwo podnosząc się, wydało również swoje bohaterki i swoje ofiary. Później zaledwo minęła straszna burza Robespierowska, całe grono sławnych kobiet nadaje epoce Thermidorów charakter: powrotu do życia społecznego, gustu i przyjemności.

Lecz te wszystkie kolejne znakomitości schodzą się razem i mieszczą w jednéj postaci, która je ogarnia, wszystkie nawzajem godzi i łączy, która ma wszystko, co w nich było świetności i poświęcenia, oglady i energii, uczciwości i hartu, natchnienia i nauki, a wszystkim tym przymiotom nadaje znaczenia przez geniusz który je unieśmiertelnia.

Pochodząc przez ojca z gniazda reformatorskiego, postępowego — wychowaniem i pierwszą młodością należy pani *de Staël* do salonów d a w n e g o ś w i a t a. Osobistości, wśród których wzrastała i które wychodowały jéj wczesny talent, należą wszystkie do najświetniejszych towarzystw ostatnich przedrewolucyjnych czasów. Pani *Staël* odradza w sobie powab i maniery świata, który się skończył, ale nie zatrzymuje się przy tém dziedzictwie, gdyż odznacza ją uniwersalność umysłu, potrzeba napraw, zdolności do zapału; odbija się w niéj energia świeża, geniusz ludu, męzkość dusz republikańskich. Ich serce gotowe jest do bohaterstwa pani Ro-

land i Karoliny Corday — lecz przy têm jest serdeczną i pełną delikatności dla dawnych przyjaźni. Prawdziwa siostra rewolucjonisty-poety Andrzeja Chenier — radaby bronić zarazem króla i królowéj, gdyby im to pomódz, mogło. To też w książce „o wpływie namiętności“ wyraża się z smutnym stoicyzmem, że w tych czasach teroryzmu jedyną cnotą jest — umrzeć. Za dyrektorjatu jéj pisma, rozmowy, nie pozbawiając się dawniejszych przymiotów, nabierają tonu surowszego: broni ona sprawy filozofii, możności doskonalenia się, rzeczypospolitéj umiarkowanéj i wolnéj — wtedy to w dziele o związku literatury z instytucjami społecznemi wypowiada: „kilka żywotów Plutarcha, list Brutusa do Cycerona, refleksje, któremi nienawiść tyranii natchnęła Tacyta..., podnoszą duszę uginającą się pod wypadkami“. Nie przeszkadza jéj to trzymać otwarte ramiona dla wszystkich przyjaźni dawnych, w miarę jak powracają z wygnania. I tak kolejno lub naraz mieszają się w téj duszy zarówno rozmaitéj jak i wykończonéj, i ruch umysłowy salonów XVIII. wieku, i wybujałość nowych nadziei i wielkich przedsięwzięć, i smutek patriotycznego stoicyzmu, i powrót do dawnych stosunków, i zwyczaje nowoczesnéj ogłady; i na pół filozoficzny, nowatorski salon jéj matki i rojalizm z czasów Restauracyi. Nie jednolity polityczny, jak pani Roland — ale wrażliwy, umysłowy i literacki charakter mamy przed sobą. Ona się rozrasta bezustannie w świecie ducha; mnogość podniosłych idei, głębokich uczuć, stosunków emulacyjnych; oto czego ona szuka, co w sobie i około siebie organizuje. Dziedzina jéj, to niby wspaniały dwór w państwie rozumu i uczuć — nic znaczącego, nic nadobnego nie pominięto tam — wszelkie odznaczenia talentu, urodzenia, patriotyzmu, piękności mają tam swoje siedziby pod jéj wejrzeniem, które zawiesza nad niemi jako pani myśli.

Głównym charakterystycznym rysem p. *Staël*, jednością tych wszystkich przeciwieństw, które obejmowała, duchem rwistym i przenikliwym, łącznikiem który te wszystkie przeciwieństwa obejmował i wiązał w cudowną całość — była niezaprzeczenie rozmowa, pełna wdzięku i świeżości improwizatorskiéj. To słowo magiczne stanowiło główny wdzięk jéj geniuszu, właściwe życie; tak *Fontanes* powiada: „Kiedy pisze, jéj się zdaje, że jeszcze rozmawia. Kto ją słyszy, musi wielbić — na krytykę jéj dzieł zdobyłem się, nie słysząc jéj“. W pismach jednak nie jest ona niższą jak w rozmowie, i dziełami swojemi dała sobie trwałe i piękne świadectwo. — Sam jeden romans „Korynna“ byłby pomnikiem nieśmiertelnym. Sztuka, polityka, filozofia moralności, pamiętniki, oto przedmioty jéj talentu.

W życiorysie pani Roland *) poznaliśmy wielką postać, tutaj poznamy wielki umysł. Rzuciliśmy kilka ogólnych konturów, a teraz przystąpimy do wypełnienia rysów, nie zapominając o szczegółach i przypomnieniach drobniejszych, które są zawsze pieprzykiem i solą w opowiadaniu.

*) W pierwszém ćwierćroczu „Kaliny“.

I.

Panna Germaine Necker wychowała się pod wpływem zimnéj nieco surowości matki, a krotofilnemi choć nieraz wymownemi dowcipami ojca, ministra króla Ludwika XVI. Usposobienie jéj skłoniło ją więcéj ku ojcu i stała się wcześnie tak zwaném dzieckiém cudownem. W salonie było jéj miejsce przy drewnianym taborecie, koło fotelu matki, która przestrzegała, aby się trzymała prosto i w ogóle nie spuszczała z niéj oka. Dowcipu jéj jednak w karbach utrzymać nie mogła, dowcipu dziecka, z jakim dawała odpowiedzi osobistościom znakomitym, które je z przyjemnością otaczały, wyciągały na rozprawki, a nigdy nie zdołały wprowadzić w kłopot. Dziewczynka czytała książki ponad swój wiek, chodziła do teatru, a za powrotem treść sztuk spisywała — główną zabawką jéj było wycinanie z papieru figur królów i królowych i odgrywanie z niemi tragedyj — miała więc swoje marjonetki, tak jak Goethe. Instynkt dramatyczny, potrzebę wzruszeń i wygadania się zdradzała na każdym kroku. Od 11go roku układała portrety, pochwały podług ówczesnéj mody. W 15tym roku pisała wyciąg z „ducha praw“ z uwagami; w skutek słynnego sprawozdania o stanie kraju przedłożonego królowi przez jéj ojca, napisała bezimienny list do niego — ale poznano ją po stylu. Lecz głównie wówczas przeważała u niéj owa uczuciowość, która pod koniec XVIII. wieku za wpływem J. J. Rousseau wszystkie młode serca opanowała i stanowiła szczególne przeciwieństwo z duchem badawczym i wątpiącym téj epoki. W tym nieco bezładnym odporze instynktowych potęg duszy przeciwko krytyce, jakiemi są: marzenie, melancholja, litość, entuzjazm dla geniuszu, dla natury, dla cnoty i dla nieszczęścia, te uczucia szerzone przez „Nową Heloizę“ Rousseau'a, owładnęły silnie pannę Necker i nacechowały całą pierwszą część jéj życia i pism pewną przesadą, nad którą można się uśmiechać, ale która niemniéj się podoba. To usposobienie okazało się najpierw w uwielbieniu jakie miała dla ojca, a które do końca życia wzrastało. Podobną miłość widzimy w pani de Sévigné dla swojéj córki. Spotykanie tak gorących i tak czystych skłonności u umysłów tak świetnych jest w istocie pokrzepiającém dla nas.

Wśród ruin innych uczuć, wśród rozczarowań i zwątpień to jedno uczucie pozostało u pani *Staël* nietknięte, ten przedmiot jéj miłości i uwielbienia pozostał w jéj duszy zawsze bez skazy, i opromieniony niezmienną aureolą młodych wspomnień z młodych lat.

Obok czci dla ojca, najdroższemi zajęciami jéj duszy w tym wieku egzaltacyi, duszy smutnéj a ży-

wéj, któréj nie bawiło tylko to, przy czém mogła płakać, były marzenia, romantyczne fantazje, chęć łamania się z przeciwnościami i przeszkodami, łatwość znoszenia cierpień, upodobanie śmierci. Lubiała pisać o tém równie tajemnie, jak tajemnie oddawała się czytaniu książek zakazanych przez matkę. W oczach jéj chodziła po pokoju z pozwoloną książką w ręku— lecz ilekroć się oddaliła, wracała zaraz do ukrywanéj książki, zwykle jakiegoś sentymentalnego romansu. Mówi ona sama, że „wykradzenie Klarissy“ było wypadkiem w jéj życiu — a któraż żywa i poetyczna wyobraźnia nie doświadczyła podobnego wypadku?

Ciąg d. nast.

OBRAZY I OBRAZKI
z tatrzańskiéj wycieczki.

Bałucki

I.

Od spiekoty i kurzu miastowego uciekałem w góry na małym wózku góralskim. Kosmaty konik nie o wiele większy od dużego psa, szybko przebierał nogami po gościeńcu i po kilkogodzinnéj jeździe byłem już za Myślenicami. Zamiast ciasnych ulic i wysokich kamienic, miałem przed sobą teraz faliste linije pagórków, ubranych w świeżą zieloność i w ciemne świerkowe lasy, a wśród tego gdzieniegdzie poprzyczepiane ciemne góralskie chaty. Zamiast rynsztoków szemrały mi u nóg karbowane kryształy Raby, a szumy lasów i śpiewy ptactwa trzepoczącego się w wiklinach, przyjemniéj trochę brzmiały mi w uszach, niż miejskie gwary i ploteczki. Jednêm słowem, rad byłem téj przemianie kulisów i swobodnie mi było oddychać górskiém powietrzem. Jadąc, rozglądałem się po okolicy, przypominając ją sobie. W chłopięcych bowiem jeszcze latach przejeżdżałem tędy. Nie wiele się zmieniło od tego czasu, tylko lasy gdzieniegdzie wyłysiały, zapewne dla pokrycia golizny dziedziców, a na miejscu chat starych stanęły nowe, pokaźniejsze. Nawet to samo źródełko po prawéj stronie gościeńca, z którego wtedy piłem, i teraz się sączy srebrną nitką po skale, wśród ciemnych listeczków borowiny i czerwonych poziomek. Miłe są takie przywitania starych znajomych, smutno pomyśleć, że one nas przeżyją.

Niedaleko Pcimia pagóry, otaczające dotąd gościeniec, coraz to więcéj w dół opadają, aż przechodzą w jałową, smutną, jednostajną równinę, zasypaną kamykami drobnemi, które świadczą o szerokich wylewach Raby. Nędzne chaty uciekły od sąsiedztwa niespokojnéj rzeki i przytuliły się do każdéj wyniosłości, chroniąc się przed wylewem sadzonemi gęsto olszynkami. W chatach lud biedny i niełądny. Pamiętam, kiedym kilka lat temu przejeżdżał tędy, było to w nocy, księżyc wystąpił na czarne grzbiety lasów i srebrnem światłem oblewał okolicę. Przy tém oświetleniu wody Raby szeroko rozlane, wydawały się jak wielkie zwierciadła, potłuczone i rzucone jedne na drugie, w zwierciadłach przeglądał się i rozpryskiwał księżyc, ciemnolazurowe niebo powtarzało się z gwiazdami u stóp moich i zygzakowate linie lasów z przewróconemi na dół wierzchołkami mocnym cieniem kładły się na jasnych wodach. Nad tém wszystkiém sina mgła, jak lekka muślinowa zasłona, za którą widne były wierzchołki Porębskiego lasu. Na białych ścianach Pcimskiego kościółka cienie drzew kołysały się, strasząc mi zabobonną Tereskę góralkę, towarzyszkę mojéj podróży. Dziś ani Tereski gwarzącej mi podówczas górskie powieści, ani magicznego oświetlenia księżycowego, ani tajemniczych cieniów nocy, pod których osłoną fantazja cudownemi złudzeniami oszukuje oczy. Wszystko zobaczyłem w naturalnêm oświetleniu, tak jak było rzeczywiście. Zdjąłem z oczów poetyczne okulary nocy i młodości i zobaczyłem nędzę, wyszczerzającą się z jałowych kamienistych pól, rzadkim owsem porosłych i z ciemno-orzechowych chat góralskich, otoczonych niebieskiemi dymami, które kładły się na poczerniałych słomianych strzechach. Nad rozlanemi szeroko a płytko w kamienistym korycie wodami Raby stały długie kładki z podporami, podobne do popielatych pająków, przechodzących przez rzekę. Po tych wązkich kładkach snuli się ludzie niby robaczki do kościoła na sumę. Górale w swoich ciemnych guniach, góralki w ciemno-niebieskich spódnicach i zapaskach, które na ramiona zarzucają w kształt płaszczyków. Głowa każdéj osłonięta jest w żółtą lub czerwoną chustkę, związaną pod brodą. Twarze ich wynędzniałe, spalone od słońca, okolone płowemi włosami są niełądne i bez wyrazu. I ludzie i okolica przykre robią wrażenie; toteż zachęcałem do pośpiechu wiozącego mnie górala, by co prędzéj dostać się na szczyt Lubienia, zkąd pierwszy raz odsłania się rozległy widok na Tatry, a że konik mimo wysileń szedł o wiele wolniéj pod górę niż moje chęci, więc wyskoczyłem niecierpliwy z wózka i wyprzedziłem go spiesząc na górę, która jest niby progiem do tatrzańskiéj krainy. Po drodze układałem sobie nawet już niektóre rymy, na powitanie cudnego widoku, kiedy nagle gęsty tuman kurzawy zakręcił się na drodze, zasypał mi twarz i oczy, a niedługo potem puścił się deszcz gęsty i zagasił moją radość i nadzieję i moje rymy. Gdym stanął na górze ciemne płachty chmur zasłoniły już widok, tylko Babią-Górę widać było jeszcze, nieco po lewéj stronie spowitą w zasłonę mgły i deszczowéj kurzawy. Rad nierad musiałem schronić się do lichéj karczemki, stojącéj na wzgórzu i przeczekać nawałnicę. Przed samym wieczorem dojechałem na nocleg do Zaboni. Przed karczmą na ganeczku siedziały dwie młode żydówki.

Jedna rumiana blondynka, z turkusowemi oczami i włoskami kręcącemi się nad czołem; druga brunetka, z twarzą bladą, wywiędłą, schorowaną, dziwnie interesującą. Oczy jéj ciemne, duże, odbijały na téj twarzy jak czarne, połyskliwe węgle na śniegu. Obydwóch ubiór był zaniedbany, niechlujny i ubogi.

— Panny tutejsze? spytałem, gdym już w karczmie ulokował rzeczy.

— Nie, my ze Szczawnicy — odpowiedziała blondynka, kalecząc wyrazy żydowskim akcentem i równocześnie z ładnych jéj ustek zaleciał mnie odpychający zapach czosnku.

— Pewno za jakim interesem?

— Nie, my w kąpielach były.

Spojrzałem mimowolnie na zaszargane suknie żydówek i zdziwiła mnie ich odpowiedź. Po dłuższéj z niemi rozmowie wyjaśniła mi się ta zagadka, jak dwie biedne żydówki wyglądające najwyżéj na sklepowe nędznego składu jakiego, mogły zdobyć się na wyjazd do kąpiel. Rzecz się tak miała: Rejza (owa brunetka o bladéj twarzy), jednéj nocy dowiedziawszy się że jéj brat zbankrutował, poczęła kaszleć i krwią pluć, a w piersiach uczuła mocne bolenie. Doktór radził na to jechać do Szczawnicy. Rejza nie miała pieniędzy; ale dla poratowania zdrowia (!) jadała o połowę mniéj jak dotąd, szyła po nocach, byle zebrać na drogę pieniędzy. I trafiło jéj się potém jechać w ośm osób na małym wózku góralskim za tanie pieniądze. W Szczawnicy mieszkała „pod Zegarem“ w brudnéj izbinie, jadała bardzo mało, najczęściéj cybulę lub grzanki chleba masłem smarowane, czasem trochę kaszy omaszczonéj rosołem. Ale za to wody piła bez liku przy źródle. Rezultat téj kuracyi był taki, że Rejza wracając ze Szczawnicy, musiała szlafroczek ścieśniać na sobie. Przykro było patrzeć na nią, jak na wszystko, co niszczeje, czy to kwiatek przy drodze czy to hrabina w atłasach i koronkach, czy żydówka w zaszarganym szlafroczku. Gniewało także mnie, że doktór auskultując piersi choréj, nie auskultował zarazem jéj kieszeni, a pewnie nie byłby jéj zapisał Szczawnicy.

Siedziałem jeszcze czas jakiś w ganku, rozmawiając z żydówkami, rozpytując się ich pilnie o niektóre szczegóły ich życia i zwyczajów. Odpowiadały mi chętnie, szczególniéj rozmowną była towarzyszka Rejzy, bo ona sama milcząca, tylko ruchem czarnych oczów kazała się domyślać, że uczestniczy naszéj rozmowie. Wieczór był cichy i pogodny, po nawalnym deszczu powietrze orzeźwione, ale nieco za chłodne. Rejza zakaszlała parę razy, słyszałem, jak ten kaszel grał jéj w piersiach, jak w pustym garnku. Radziłem, by poszła do izby. Usłuchały mnie i życzyły mi dobréj nocy.

Dobra noc — rzekłem im i patrząc za odchodzącą chwiejnym krokiem Rejzą, pomyślałem sobie: z tobą już na wieczną noc żegnać się trzeba, bo tu na ziemi mogiła cię zasłoni przedemną, a po śmierci katechizm, który nieochrzczoną do piekła osądził.

Niezadługo i ja poszedłem do swojéj izdebki, z powodu dokuczliwego bólu zębów, którego się na Lubieniu nabawiłem. Natarłszy się eterem, otulony w watę, jak w białą brodę Ś. Mikołaja, położyłem się do łóżka. Znużenie przemogło ból i wkrótce usnąłem. Ale uparty ząb i w śnie mnie trapił, biorąc na się różne postacie. Raz zdawał mi się słupem, do którego mnie przykuto łańcuchem, szarpałem się rozpacznie i oderwać się od niego nie mógłem; to znowu przemienił się w jakąś małą osóbkę, niesłychanie nudną i natrętną, któréj napróżno usiłowałem pozbyć się; gdziem się ruszył, ona wszędzie znalazła się tuż koło mnie, rozwodząc jakieś narzekania, od których mi głowa pękała z bólu. Przebudzenie uwolniło mnie od tego snu męczącego, podniosłem się na łóżku; wtém za ścianą słyszę jakieś dwa głosy kobiece.

— Śpi już ciocia? odezwał się jakiś miluchny, dźwięczny głosik.

— Uchowaj Boże, czytaj daléj — odpowiedział jéj drugi głos przesadny i śpiewający.

Pierwszy głosik zaczął czytać:

Pękły już lody i śniegi tają,
Kwiatami pachną polany, lasy —
Znajome góry na nas wołają:
Chodźcie juchasy! chodźcie juchasy.

— Prześliczne — odezwała się ciocia — tylko te „juchasy“ — to gminne, trywialne, pfe — czyż to nie ładniéj: „chodźcie pasterze, chodźcie pasterze!“ Głos jéj, gdy to mówiła, był nastrojony na nutę Filonów i Koryn.

Zainteresowała mnie i rozciekawiła ta rozmowa tém bardziéj, że wiersze, które ów dźwięczny głosik wygłaszał, były moje, drukowane przed paru latami w jakimś dzienniczku. Autor i człowiek słuchali przezemnie. Panienka czytała daléj:

Puste szałase patrzą w manowce,
I wysélają ścieszki za zwiadą,
Czy nie wracają już do gór owce,
Czyli juchasy z wioski nie jadą.

— Śpi ciocia?

Zamiast odpowiedzi dało się słyszeć mocne chrapanie. Panienka czytała daléj po cichu, domyślałem się tego po szeleście przewracanych kartek, a ja z usłyszanego głosika usiłowałem odtworzyć sobie w myślach całą postać. A najprzód, że musi być blondynka, bo blondynki przeważnie są poetyczniejsze, więcéj marzące i mają głos łagodny, taki właśnie jak ten, który

przed chwilą słyszałem; że musi być jeszcze bardzo młoda, kiedy wiersze czytuje na popasie; że serduszko jéj jeszcze nie zajęte nikim, bo podczas czytania nie westchnęła ani razu: że musi być z miasta i to z większego, kiedy tak długo w noc siedzieć lubi. Natomiast na wyobrażenie ciotki schodziły się najciemniejsze kolory, najniekorzystniejsze światła. Ale bo czyż nie miałem powodu nie cierpieć jéj, nieznając jeszcze? Poprawiała moje rymy, usnęła nad niemi i pozbawiła mnie przyjemności dalszego słuchania czytającéj kuzynki. Z krótkiego zachwytu nad mojemi wierszami domyśliłem się, że jest jeszcze panną, bo te z reguły muszą się zachwycać poezją — a z tego, że usnęła, że musi być s t a r ą p a n n ą, któréj siły fizyczne nie dopisują poetycznym ekstazom — z poprawiania moich wierszy zrobiłem wniosek, że musi sama być poetką; a z przesadnéj i nienaturalnéj deklamacyi, że się blanszuje i brwi zaczerniać musi. Wśród tych moich uwag paseczek światła, który przez dziurkę od klucza wpadał do mego ciemnego pokoju, zgasł — piękna czytelniczka widocznie usnęła. Ja nie byłem tyle szczęśliwy. Do samego rana rzucałem się po łóżku, nie mogąc usnąć z powodu bólu. Toteż rychło serduszka w okiennicach zarumieniły się porannym brzaskiem, wstałem, ubrałem się i wyszedłem przed karczmę.

Ranek był śliczny — wszystko odświeżone wczorajszym deszczem, ozłocone słońcem, jak dziewczyna, gdy po długim płaczu pierwszy raz się uśmiechnie. Powietrze było czyste, na liściach drzew chwiały się brylanty rosy, a w każdéj kropelce łamały się promienie wschodzącego słońca, w cudowne kolory; ptaki przelatujące z drzewa na drzewo ożywiały śpiewem okolicę. Poszedłem nieco przejść się drogą ku Rabce. Kiedy wróciłem, żydówek już nie zastałem, natłoczyły się na wózek i odjechały do Krakowa. Przed stajnią obok mojego woźnicy siedział drugi góral z siwemi, długiemi włosami, w stroju, jaki noszą koło Czarnego-Dunajca.

— A wy z kim? spytałem siadając na wózek.

— Jakieś państwo od Warszawy — wiecie?

— Dwie panie?

— Ba, kaj ta, jest ta jeszcze jakiś płony *) pan z niemi.

— Czy do Szczawnicy?

— Do hal, w Zakopane.

Góral mój zaciął kosmatego konika — ruszyliśmy. W téj chwili w sieni karczmy usłyszałem jakieś głosy, główka wychyliła się przez drzwi, rozciekawiona turkotem wózka na gościeńcu. Obejrzałem się. Główka była kobieca, ale z odległości nie mogłem już odróżnić, czy to ciocia, czy kuzynka. (Ciąg d. nast.)

*) Chudy, mizerny.

Z PRZYRODY.

O KAWIE. (SZKIC.)

(Dokończenie.)

Obok innych produktów pól i łąk naszych jak suszonych ziarnek żółtéj lilii wodnéj, palonych żołędzi, suszonych korzeni marchwianych itp., najzwyklej przymieszywany bywa do mielonéj kawy sproszkowany suszony korzeń cykoryi.

Rozpoczęli to sprzedający; ci do prawdziwéj mielonéj kawy dodając suszone cykorjowe korzenie, sprzedawali taką kawę sfałszowaną. Późniéj postępowanie to z czasem tak wzrosło, że dla pewnego zabezpieczenia się od oszustwa kupców, i cykorja osobno w handel weszła; lecz jeszcze mimo tego jest ona ciągle przymieszywaną do kawy, nikt nie powinien zatém kupować kawy już mielonéj.

Ten proszek cykorjowy nie posiada zupełnie nic z owego przyjemnego aromatu, odznaczającego kawę prawdziwie arabską. Nasypany na zimną nawet wodę, zabarwia ją ciemno, nadaje jéj wcale niemiły smak gorzkawy.

Wielu osobom zdaje się, że ta właśnie goryczka polepsza smak prawdziwéj kawy; — to tylko wskazuje, jak długotrwałe fałszowanie i przyzwyczajenie wyradza zepsuty smak, który potém wymaga już sam i uprawnia niemal oszukaństwo.

W małéj ilości ten gorzki, toniczny pierwiastek cykoryi nie jest wprawdzie zdrowiu szkodliwy, jednakże przy częstszém i dłuższém użyciu, powoduje silne uderzenie serca, pieczenie i palenie w ustach i żołądku, kwasy, psuje apetyt, sprowadza osłabienie, drżączkę, bezsenność,

Pisząc o tém wszystkiém, nie możemy pominąć wiadomości, jakie w zakresie niniejszego artykułu podaje Gifford Palgrave w swém uczoném, świeżo wydaném dziele o Arabii środkowéj.

„W Europie, powiada o kawie ten uczony wędrownik, są te szlachetne ziarnka w rozliczny sposób bezczeszczone, napój z nich źle przyspasabiany i w „n a j l e p s z y c h“ nawet domach jak „b a r b a r z y ń s k i s o k“ podawany. Nie znają się na wybieraniu stosownych ziarn, a i tak nie najlepsze już przychodzą do Europy.

Rozmaite są, jak wiadomo, rodzaje ziarn kawowych. Najlepszy — a z tém, powiada Palgrave, zgodzi się każdy prawdziwy znawca — przychodzi z arabskiéj prowincyi Yemen, nazywa się Mokka od znanego portu wywozowego.

Ale mała, bardzo mała ilość przychodzi w okolice na zachód Stambułu leżące. Arabia, Syrja i Egipt spotrzebują całe dwie-trzecie części kawy Mokki czyli Yemen, a pozostała część trzecia dostaje się do rąk Turków i Armeńczyków, którym i tak nie dostaje się już

najczystszy towar. Gdyż zanim ten dojdzie do Aleksandryi, Bayrutu, Jaffy i innych portów w celu dalszego wywozu, już te pakunki Mokki bywają po drodze ziarnko po ziarnku przebierane. Każde ziarnko pojedyńcze, które jest twarde, okrągłe, przeźroczyste i zielono-szare, zatém jedynie do palenia i zmielenia dobre, jest ręką doświadczonych ludzi odkładane na bok, a na wywóz do Europy pozostaje reszta, a zatém więcéj spłaszczone, ciemniejsze lub téż bledsze ziarno.

To oddzielanie odbywa się z pewném przeświadczeniem i metodą. Już w Arabii saméj ma ono stopniowe zastósowanie, przy czém sam Palgrave był nieraz obecnym. Odbywa się to zarazem z największą starannością.

Kawa arabska idzie trzema drogami wywozowemi: przez Czerwone Morze, przez środkowy Hedschas i przez Kasim: pierwsza prowadzi do Egiptu, druga do Syryi, trzecia do Nedsched i Dschebel-Szamar. Wyjąwszy Arabii, dostają dwa pierwsze kraje najlepsze towary, ale także pod wyżéj wskazaném uszczupleniem, a przez Aleksandrją i porty Syryjskie dostaje nareszcie Konstantynopol i Pólnoc swą „prawdziwą Mokkę".

Ta jednak w istocie rzadko jest prawdziwą, wyjąwszy, jeźli dobrzy znajomi i ściśle interesem handlowym związani są o tyle szczęśliwi, że są w stanie najlepszą przesłać kawę. W zwykłym obiegu handlowym w składach miast nadbrzeżnych odbywa się prawie zawsze falszowanie i przymięszanie, i bardzo często ta, co z portów wschodnich przybywa do Europy, jako prawdziwa Mokka, jest do niéj tak podobna, jak brazylijskie wino z drzewa dobywane, do prawdziwego Oporto.

Drugi najlepszy rodzaj kawy, a od niektorych wyżéj nad Mokkę ceniony rośnie w Abyssynii. Jagodę ma większą, ta wygląda inaczéj i mniéj jest rozpalającą.

„Wszystka inna kawa to tylko ziarna". W trzecim zatem rzędzie stoją ziarna indyjskie, a do nich doliczyć można małą część ziarn w Omanie zbieranych, niemi napawają się wszyscy kawiarze od Dafaru do Baszy, Bagdadu, Moszku, a zatém Araby, Persy, Turki, Kurdy; ci wszyscy nie dostają wcale innego napoju. Kawiarnia turecka na wystawie paryskiéj niekoniecznie zatém prawdziwego nektaru dostarcza. Temu kto nie zna Mokki napoju, wydaje się i tamten dość dobrym a nawet przyjemnym. Palgravowi, który w Nedsched najdoskonalszego zakosztował napoju i cenić się go nauczył, wydał się tamten „zaledwo do picia zdolny".

Ziarna te indyjskie są nieregularne, czarnawe i braknie im tego do alabastru podobnego, napół przeźroczystego wejrzenia, które cechuje ziarnka kawy Yemen.

Podług mniemania wszystkich mieszkańców Wschodu najwyższy zajmują stopień pod względem smaku i dobroci rodzaje kawy amerykańskiéj, lubo Jawę chwalą sobie w Europie.

U nas kawa stała się nieodzownym trunkiem; wyborna, ciemna a burztynowego polysku, ma już u nas swoją tradycyjną sławę, skoro jéj nawet Mickiewicz w „Panu Tadeuszu" osobny ustęp poświęcił. W ostatnich dopiero czasach za przykładem Kongresówki, która ma większą sposobność odbierania karawanowéj herbaty — zmniejszyło się spożywanie kawy, zawsze jednak pozostała ulubioną, lubo zasługą musi się dzielić w połowie ze śmietanką. Ameryka nadesłała na wystawę paryską nowy przyrząd do palenia kawy oszczędzający czas i koszta. **Z.**

KORESPONDENCJE.

Paryż z wystawy.

Wróciłam z wystawy — chaos widzianych przedmiotów kotuje po mojéj głowie, jestem w kłopocie, jak ten chaos zakląć w słowa i stworzyć z niego korespondencją.

Myśli moje się plączą, oczy dziś tyle się nachodziły po różnych krajach, i szłyby daléj jeszcze, choć nogi już zmęczone; ach, łatwo jest przyjść na wystawę, ale wyjść z niéj niepodobna. Przebiegam salę gobelinów, mebli, ubiorów, podziwiam łóżko z kotarami, które lady Corrington przez 5 lat haftowała; najrozmaitsze galerje, najrozmaitsze kraje, ogrody i ludzi; im więcéj już widziałam, tém więcéj jeszcze chcę widzieć — błądzę. Na téj ogromnéj przestrzeni może się przechadzać wygodnie 50,000 ludzi, a nigdy się nie spotkać. Orfeusz byłby z pewnością nie odnalazł Eurydyki, gdyby Pluto zamiast w piekle był ją ukrył na wystawie. I rzeczy i ludzi takie tu mnóstwo, że chociaż wszystko podług cyrkla poustawiane, jednak robi wrażenie chaosu. Gdzie się zatrzymać, gdzie wypocząć, kiedy każdéj chwili szkoda.

Oto przedemną armja fortepianow i regiment armat — w przykładnej zgodzie. Hiszpania, która tak dlugo lubowała w gitarze, Włochy, które do niedawna jeszcze wierzyly w mandolinę, dzisiaj wyrabiają już i wysełają fortepiana. Wiedzcie do tego, że każdy przedsiębiorca trzyma w pogotowiu grajka, dla okazania doskonałości swego wyrobu. Niechno jeden zacznie grać, a hałas klawiszowy szerzy się jak zaraza, a gdy do tego jeszcze i organy poczną huczeć, to uciekajcie, bo was wrzask pochłonie.

Armaty są s p o k o j n i e j s z e i nie grożą publiczności taką piekielną sonatą Przed muzyką niemożnaby uciec, tak jak niemożnaby się opędzić smutnym przewidywaniom niespodzianek, jakie one światu gotują.

Rok temu czy dwa, pamiętam odbywał się kongres pokojowy, któremu przewodniczył słynny ekonomista C o b d e n. Było tam mnóstwo wymownych toastów na cześć pokoju, téj matki wszelkiego dobrego i opiekunki postępu. Radowano się bardzo. Zdawało się, że pocałunek powszechnéj zgody obiegnie caly świat. Otóż na dowód téj zgody każde państwo popisuje się armatami. Cóż to za potwory! przyczaiły się na lawetach i aż dreszcz przechodzi, kiedy się ręka dotknie ich błyszczących grzbietów. Ilu wdów, ilu sierot los kryje się we wnętrznościach tych metalowych smoków! Można być zaprawdę dumnym z cudów cywilizacyi słysząc, jak jeden naród mówi do drugiego głosem spiżowym: ja zabijam na minutę sto ludzi, a ja 500, a ja 1000! Oczywiście, że przy armatach są strzelby, niby dzieci koło ojców — a koło obydwóch ciągły tlum ciekawych. W istocie nic tak nie zdobywa sobie podziwu ludzi, jak to, co niszczy. Ale cieszmy się: jest osobny dział pomocy dla rannych, są i stowarzyszenia w tym celu; można śmiało zabijać, skoro i trupy natychmiast pochowane będą, i ranni obandażowani. O! jest sroga ironja w tym naszym postę-

pie. Morderczość wysila się na coraz nowe pomysły, a w parze z nią i ludzkość się wysila na sposoby ratunku i zachowania. Czyż to nie jest praca Danaid? Nie wiem, czy za takie grzechy zechce nam kiedyś dać rozgrzeszenie Bóg historyi; choć tyle mamy na nasze usprawiedliwienie cnót, jak np. stowarzyszenia o c h r o n y z w i e r z ą t, które mają tu swoją kaplicę na wystawie. W sercach pojedyńczych ludzi zabrakło widać miłości, niechajże ją w sobie chociaż stowarzyszenia w y r o z u m u j ą.

W pewnych godzinach, co tylko jest na wystawie, ludzie i zaprzęgi wychodzą naraz. Djabeł widocznie miesza się do tego, i oto rozpoczyna się piekielny taniec — możnaby dostać obłąkania, gdyby nerwy ludzi dzisiejszych nie były przytępione. Niejeden okupi się migreną i nareszcie przyzwyczai się do tego wrzasku.

Jedna jest tylko rzecz, która codziennie nową sprawia przyjemność i zadowolenie wewnętrzne — to jest milcząca praca pewnych małych przemysłów, dla których odpoczynek jest legendą, sen mithem. Są one rozrzucone po całéj wystawie i trzeba nawdziać siedmiomilowe ciżmy, żeby je zwiedzić wszystkie. Czyja wola, proszę za mną. Poznamy łatwo ich siedzibę, bo gdziekolwiek który z nich postawił swój ołtarz, stoi przed nim nieustający tłum ciekawych, jak stado czapli nad sadzawką.

Oto fabryka kapeluszy — w oczach widza odbywają się wszelkie przemiany króliczéj sierści — opowiadają, że to widok wielce zajmujący — ja nie mogłam jeszcze docisnąć się, taki tam żywy wał skrystalizował się naokoło. Po daremnych usiłowaniach trzeba energicznie zaapelować do rezygnacyi i pójść daléj.

Tu krają korki. Dwóch młodych Kobylów w płóciennych koszulach — koło nich kosze z drzewem korkowém i narzędzia ich przemysłu szerokie tasaki i osełki do ostrzenia. Wyjmują kawały drzewa i z wielką zręcznością krają na drobne sztuki okrągłe. Czasami przemówią kilka słów w rodzinnym idjomie; skóra ich barwy orzechowéj, oczy hebanowe. Pracują oni dla nas, aby było czém korkować wina, o których ani słyszeli.

Tuż obok murzyn plecie koszyki ze słomy i paseczków kolorowego sukna. Dwóch żydów z Algieru lamują pularesy i pantofle, trzewiki niémi ze złota i srebra. Czerwona i niebieska skóra znika pod cienkiemi arabeskami błyszczących deseni i wszystkie fantazje wschodniego kaprysu wykluwają się pod ich palcami. Daléj Arab — pali sobie z powagą cygaro — jest to kowal. Przed nim młotek, kowadło — koło nóg małe ognisko. Głowa jego obwieszona ozdobami z branzoletek, z pierścieni, z wędzideł i kolij srebrnych; bo ten kowal z pod Atlasu jest zarazem złotnikiem.

Idźmy daléj do galeryi maszyn. Oto dwóch artystów, którzy wyrabiają kamee na konchach i twardych kamieniach. Na oczach mają umbrelki, a zręczne ich ręce uzbrojone w dłuto i pilnik, rytują w onyksie i sardoniksie, w jaspisie i kornalinie profile bogiń i oblicza nimf.

W małéj budce ledwie trzy stopy mającéj przemysłowiec paryski grawiruje cały dzień karty wizytowe; zamówień mnóstwo, praca idzie bez ustanku.

Daléj kilka maszyn do szycia — przy każdéj ładna robotnica obraca koło i porusza pedały. Są to Amerykanki, Niemki, Angielki — nie żałujcie tylko perkalu, a przysłowie: „zostać bez koszuli“, stanie się nieprawdą. Dziwna rzecz jednak, że pomiędzy publicznością koło tych maszyn nie bywa wcale kobiet. Czyliżby się obawiały „zarazy przykładu?“

Niedaleko napotykamy znowu grono młodych dziewcząt; poeta madrygałowy, powiedziałby: r ó j. Są to same kwieciarki w pracowni. Stosy róż, fijołków, piwonij, geranij, piętrzą się przed niemi. Są to stroje na przyszłe bale — pracownia ta w ciągłém oblężeniu przez kobiety.

Dolatuje nas zapach — oto fabryka mydełek toaletowych — maszyny, cylindry, które gniotą i krają masę zawonioną — wylatują kule lub sześciany białe, zielone o zapachu gorzkich migdałów lub wanilii. Ogromny odbyt.

Jeżeli kokieterja zbiera swoje pokłosie, nie zasypia pola i gurmanderja. Oto z osobnéj maszyny sypią się ciągle ocukrzone migdały. Przyjemny szmer rozchodzi się z miedzianego bassenu, a zarazem i oschłe podniebienie smaczek połechtuje. Zostawię was dzisiaj przy tym smaku — a sama wybieram się zobaczyć H e r n a n i e g o Wiktora Hugo; teatr przepełniony. Szkoda, że na wystawie nie ma okazów i prób strawności żołądka ludzi XIX. w. Bo w istocie ta sama publiczność, która przepada za farsami Offenbacha, która się entuzjazmuje dla satyrycznych fotografij, jakiemi są komedje Sardouta, sama zapala się dla poezyi, szturmuje o miejsca na „Lwa zakochanego“ Ponsarda, apoteozuje Wiktora Hugo — a potem rozbiega się na baliki. Żądza użycia i ciekawość nienasycona, oto dusza dzisiejszego społeczeństwa — skrzydła jéj z płochości

— *J.* —

Towarzystwo sztuk pięknych we Lwowie. — Nieporozumienia, które wywołała sprawa założenia we Lwowie towarzystwa sztuk pięknych, ucichły już prawie, skoro zapadł fakt, że towarzystwo już się zawiązało, urządziło, rozpoczęło czynności, i niebawem pierwszą wystawę ogłosi.

Głosy, jakie w téj sprawie z różnych stron podnoszono, dadzą się następnie streścić:

Prowincja nasza nie potrzebuje i nie jest w stanie dwóch towarzystw sztuk pięknych utrzymać, jednego w Krakowie, drugiego we Lwowie. Jeżeli się nowe towarzystwo utrzyma, to tylko chyba na ruinach dawnego, będzie to więc wydarciem Krakowowi téj instytucyi. Zamiast niepewnéj nowości i oburzenia tego, co już ustalone, należałoby raczéj w drodze porozumienia przeprowadzić, żeby towarzystwo Krakowskie i we Lwowie wystawy urządzało.

Na te zarzuty odpowiadano: że rozbudzone umysłowe i artystyczne życie we Lwowie potrzebuje instytucyi, w którejby s i ę s k u p i a ł o. Towarzystwo krakowskie urządzone jest arbitralnie, na zasadach wstecznych, nie uwzględniając równych praw każdego członka do głosu, do wybierania dyrekcyi i w ogóle do wpływania na czynności towarzystwa. Ztąd pochodzi, że kieruje się ono względami ubocznemi, osobistemi, zamiast baczyć jedynie na sztukę i zasługę. Mimo kilkakrotnych wezwań nie przychyliło się do tego, żeby wystawy i we Lwowie urządzać. Towarzystwo we Lwowie zakłada się nie z parafijańskiego antagonizmu, ale z istotnéj potrzeby. Nowi ludzie, liberalne zasady i nowe stosunki potrafią pozyskać i nowych członków, czyli akcjonarjuszów. Wszakżesz gdyby w każdéj gminie nie jedna, ale dwie szkoły były, nie przyszłoby przecież nikomu na myśl uskarżać się na zbytek środków oświaty. Dziwne więc téż jest twierdzenie z góry, że Galicja dwóch podobnych towarzystw nie potrzebuje. Fakt podniesienia téj sprawy świadczy o potrzebie; a o możności utrzymania się ich dopiero praktyka coś orzec może. Niezaprzeczenie wyniknie ztąd pewna emulacja i konkurencja, lecz właśnie téż tego nam potrzeba, to właśnie utrzymuje i ludzi i instytucje przy żywotno-

ści, zmusza ich do pilnowania się i coraz korzystniejszego rozwoju swojéj działalności. Zresztą towarzystwo lwowskie oświadcza wyraźnie w swojéj odezwie, że życzy sobie iść ręka w rękę z krakowskiém. Oto treść sporu. Sąd, kto ma słuszność? pozostawiamy czytelnikom naszym.

Co do nas, wypowiadamy głośno, że gdyby jeszcze i w Stanisławowie i w Tarnowie i w Brodach itd. powstały towarzystwa sztuk pięknych, uznalibyśmy je wszystkie w zasadzie za dobre, i że się należy popierać je. Czy się utrzymają, nikt przesądzać nie może. Jeżeli są potrzebne, a będą użyteczne i żywe — utrzymają się; jeżeli nie, upadną. W podobnych razach tylko doświadczeniem można mierzyć zasoby i wartość społeczeństwa. Jeżeli zaś towarzystwo krakowskie lęka się konkurencyi, to niechaj rozważy, czy są słuszne a uczyni zadość wymaganiom opinii publicznéj, niech się zreformują „w głowie i w członkach“, a pewnie dotychczasowi akcjonarjusze go nie porzucą i istnienie jego narażoném nie będzie.

Życzymy więc nowemu towarzystwu najlepszego powodzenia, spodziewając się, że przyczyni krajom wykształcenia artystycznego, że promieniami swojemi ożywi ciemne dotąd zakąty. W liberalnych zasadach statutu i w charakterze osób wybranych do dyrekcyi, mamy rękojmię, że w takich warunkach i w takie ręce złożona opieka nad sztuką polską, tylko korzyści krajowi przynieść może.

Jeżeli głos nasz ma jakieś znaczenie w dyrekcyi, to ośmielilibyśmy się zrobić uwagę, czyby nie dobrze było, aby towarzystwo sztuk pięknych z pomocą duchowieństwa miało także kontrolę nad obrazami religijnemi, sprzedawanemi po jarmarkach i odpustach. Wszakże idzie o rozbudzenie zamiłowania do piękna, o wykształcenie smaku estetycznego w jak najszerszym zakresie; wypędzenie więc bohomazów i karykatur, a rozpowszechnienie dobrych obrazów i obrazków religijnych nie ubliżałoby wcale towarzystwu, ale owszem odpowiadałoby jego przeznaczeniu. W Poznańskiém podobno wzięto się już do tego — czas i nam zająć się podobném wydawnictwem.

Róże na wschodzie. Róża miała wśród innych kwiatów wysokie znaczenie u Hellenów, jéj zapach uznany za najszlachetniejszy. Kwiat ten był zarazem symbolem tajemnicy: *sub rosa*; — lecz jest także wyrazem niewinności i młodości; któż nie zna miléj elegii Bernarda: *la rose*. Róże, powiada jeden z pisarzy, są darem bogów — różaniec, dodaje ten bezbożnik, podarunkiem jes szatana.

Arabowie już w tysiąc lat po Chr. wyrabiali wodę różaną; chrześcjańskie kościoły, zanim je przekształcono w Moszce, były nią polewane i myte. Saladin posłał był wodę różaną na pięciuset wielbłądach, ażeby oczyścić Moszeę Omara, przez towarzyszy wypraw krzyżackich w kościół zamienioną. Mohamed II. rozkazał kościół św. Zofii w Konstantynopolu obmyć wprzód paru tysiącami ok wody różanéj, zanim poświęcono go na Meczet ku czci Proroka.

Mieszkańcy Azyi skrapiali suknie i mieszkania, Persowie polewali ulice i drogi wodą różaną; toż samo skrapiali nią przybyszów mile witanych w gościnę. Mieszkańcy wysp jońskich w nowszych już czasach skrapiali nią greckich żołnierzy, gdy ci do nich przybyli po złączeniu wysp z lądem Grecyi. Jedna z indyjskich sułtanek kazała w swym ogrodzie wodą różaną napełnić cysterny, i z tych rozprowadzać ją po całym ogrodzie, ażeby zapach róż wszędzie się rozchodził.

Już Homer przytacza olej różany jako najwyborniejszy, którym Afrodita mazała ciało „Patrokla“.

Do najlepszych słodyczy, któremi mieszkańcy Wschodu częstują przybyszów, należy cukier różany *(Rodosachari)*, wrzuca się listki kwieciste róży do cukrowego syropu, — jest to zatem rodzaj konserwy, w któréj te wszystkie listki całkowicie odróżnić można. Róża stulistna *(Rosa centifolia)*, w kwietniu rosnąca, posiada pewne czyszczące własności, dlatego konserwy z téj róży używane są na Wschodzie codziennie rano, jako przyjemne, domowe lekarstwo. Dawniéj cukier różany używany był nawet jako środek lekarski przeciw chorobom płuc i jamy ustnéj.

Jako jeden z najmilszych aromatów na Wschodzie jest także w użyciu, zbierany na cały rok w zapas tak zwany ocet rożany *(rodoxidon)*, już to jako przyprawa do sałaty, już jako wzmacniający i pobudzający środek przy nagłém osłabieniu, lub omdleniu. Kataplazmy z róż są tam w użytku przeciw różnym chorobom kobiecym.

Do octu różanego uciekają się także otyłe damy Wschodu, rozmaitego wieku mniemając, że się uwolnią z otylstwa, lub chcąc nadać swéj twarzy sentymentalną, tak zwaną interesującą cerę. Środek ten, który w tym ostatnim celu jest w użytku i w krajach cywilizowańszych Europy, prowadzi za sobą dość niebezpieczne i uporczywe słabości tak tu, jak na Wschodzie.

MODY.

Dzisiejszy opis mód rozpoczynamy od najnowszych sukien i kapeluszy.

Suknia koloru Izabella (niebieska), jedwabna, w kliny zeszywane wypustkami atłasowemi tegoż koloru. — Inna koloru lilla, ubierana krepiną słomianą i koronkami Klary.

Daléj **suknia jasno-różowa,** zarzucona bukiecikami zielonemi ze złotem. Spodnica i stan ubrane białemi pufami z tiulu w złote centki i rolecikami z atłasu zielonego, rękawy podwójne *á la châteloine* z tiulu.

W końcu **suknia biała,** z lekkiéj wełnianéj materyjki, ozdobiona splotkami lilla i fijołkowemi; druga z niebieskiéj i białéj gazy, w szerokie atłasowe pasy, ubierana białą, paciorkową frandzlą, a zakończona paskiem, z długiemi, paciorkowemi wisiorkami.

Zamiast wypustek do zeszycia klinów, używają najwięcéj krepinek jedwabnych, w odmiennym ze suknią kolorze, z wyszyciem z takiéj krepinki dołem sukni.

Na tém kończymy opis sukien najmodniejszych, a teraz obejrzyjmy kapelusze, z których kapelusz nazwany „**Trianon**“, okrągły, z delikatnéj słomki, obłożony brzegiem kłosami, na środku denka położony okrągły talarek ze słomki, lamowany po brzegu niebieskim atłasem, od którego spadają po bokach długie wstążki atłasowe tegoż koloru. Do związania służą szarfy krepowe, koloru słomki, spięte pod brodą kłosami.

Kapelusz „Marja-Ludwika“, z czarnéj słomki, na wierzchu którego umieszczony fontaż płaski, z atłasu bławatnego, zakończony długiemi końcami, do twarzy nad czołem są drobne kokardki, od których w tył przewiązane długie, wązkie wstążki, pod twarzą związana barba czarna, zaś na wierzchu brzegiem wychaftowane czarne muszki, o złotych środkach. W tyle na włosy spada mały, czarny wełonik.

Kapelusz „à la Mouche", zrobiony z białego tiulu w centki, z szklannych białych paciorek, oblamowany brzegiem białym atłasem, jako też na fontaziu atłasowym, który jest w tyle kapelusza, są rozrzucone różno-kolorowe muchy. Szarfy do wiązania są białe, tiulowe — lamowane atłasem.

Kapelusik „Ceres", jest słomkowy, okrągły i zupełnie płaski, na brzegu są wisiorki z różnych kwiatków i słomki, szarfy tiulowe i pęczki pańskiéj trawki są z boku umieszczone.

Najudatniejszy niezaprzeczenie jest **kapelusz „Paryski"**, z różowéj, białéj lilla, niebieskiéj lub słomkowéj krepy, mięszanéj z tegoż koloru tiulem. Brzegiem są drobne kwiatki bzu, konwalii, niezapominajki, lub polne rumianeczki umieszczone i tiulem okryte, na włosy w tył spada czworograniasty welonik biały, przypięty kolorową jedwabną kokardą, stosowną do krepy.

Oprócz kapeluszy węgierskich nizkich, które są bardzo używane osobliwie do kąpiel, tak zwany **„Pasterski kapelusz"** słomkowy, cokolwiek przydłużnego kształtu, z niziutkiém denkiem, otoczoném wieńcem polnych kwiatów. Brzeg do twarzy jest podgarnirowany neżą tiulową, z pukielkami wstążeczek kolorowych, welonik biały, zarzucony paciorkami.

Bardzo ładne są wisiorki z paciorków (tego koloru, co materja, lub krepa na kapeluszu), przyszyte naokoło kapelusza brzegiem.

Ładny jest także kapelusik w kształcie małéj chusteczki, którego konice nad czołem ozdobiony wieńcem kwiatów, lub liści. Widzieliśmy bardzo piękny kapelusz biały, krepowy — ubrany białym bzem, inny różowy, z liśćmi pokrzywy, z kroplami rosy, lub czarny, tiulowy, z kłosami słomianemi i czarnemi, szarfy czarne, zaszyte sieczką czarną.

Kapelusz żółty, krepowy, ślicznie wyglądał z pączkami róż, lub popielaty, krepowy, z liściami złotemi.

Na dzisiejszéj rycinie podajemy jeszcze jeden wzór sukni, czyli paletota długiego, na gorące dnie letnie.

Krój sukni jest przy wszystkich trzech osobach ryciny prawie ten sam; lecz ubranie na szwach jest zupełnie różne.

Rodzaj kroju najlepiéj widzimy na osobie drugiéj, do któréj (paletota) dołączamy d o k ł a d n y k r ó j, w n a t u r a l n é j w i e l k o ś c i. Jest on złożony z trzech części, tj. przodu, plecek i rękawa, obłożony krajem ukośną materją, jak to na rycinie wyraźnie widzimy. Krój jest zastosowany dla osoby, mającéj 44-46 centimetrów, pół szerokości piersi.

Czwarta osoba przedstawia ładny strój dla dziecka, na który osobliwie zwracamy uwagę Czytelniczek.

Opis krojów.

Fig. 1 — 3. **Modny stan wycięty w naturalnéj wielkości.** Krój ten jest obrachowany dla osoby, mającéj 46 centimetrów, pół szerokości piersi. Niezbyt mocne czworograniaste wycięcie, jakoteż pachy stanika ubrane są paciorkami, nawlekanemi na długą nitkę i w równych odstępach przyczepiane, tak, żeby formowały małe festony. Na jasnéj popielatéj, lub ciemniejszéj sukni mogą być czarne paciorki, na czarnéj jedwabnéj białe, stosownie, o ile tego toaleta damy wymaga. Można spodnicę stosownie do ubrania zrobić, biorąc cokolwiek większe paciorki, do czego dołączamy wzór Fig 15. na arkuszu.

Stan dołączony, jest zupełnie na sposób paryski zrobiony, dość krótki, do którego zwykle nosi się spodnicę w kliny, bez fałdów. Oczekujemy właśnie kroju takiéj spodnicy z Paryża; będą one na jesień używane, i krój tejże dołączymy w n a t u r a l n é j w i e l k o ś c i, na przyszłym p o d w ó j n y m a r k u s z u — czyniąc zadosyć żądaniom się.

Fig. 4 — 9. **Chemisetka tiulowa.** Zapewne mile zostanie przyjęty model ten w rodzaju koszulki, na pleckach przeciągany wstążeczką. Krój Fig. 4 — 8. jest dla osoby, mającéj 48 centimetrów, pół szerokości piersi. Fig. 4 i 5, składają przód, z których Fig. 5, przedstawia koszulkę, jak również plecy Fig. 6 — 7, gdzie Fig. 7. koszulkę z tiulu przedstawia. Rękaw, Fig. 8. dla swéj górnéj objętości jest cokolwiek przymarszczony. Wykonanie w całości przedstawia Fig. 9.

Fig. 10 — 13. **Żakiet w rodzaju beduiny.** Żakiet przedłożony, robi się z jasnéj, gładkiéj, kropkowanéj, lub prążkowanéj wełnianéj materyi do noszenia z czarną jedwabną suknią.

Fig. 10. **Plecy wraz z kapturem beduiny**, który dokładnie widać na Fig. 13, przyozdobiony kutasami angorowemi. Przód Fig. 11, jest równy, dołem ścięty tak jak plecy. Rękaw Fig. 12. jest dość obszerny i do całości stosownie ozdobiony.

Fig. 14 — 15. **Dwa nowe wyszycia.** Obydwa wzory są z samych sieczkowych paciorеczek. Używać ich można do sukien, zarzutek itp. P r z e d s t a w i o n e są w n a t u r a l n é j w i e l k o ś c i.

Wydawca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Prenumerata miejscowa „Kaliny" wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.

Z przesełką pocztową: rocznie 7 złr. 20 c. półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c.

Prenumerata zagraniczna: bez **mód** i bez **nut** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.

Mody i **kroje** rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 złr. w. a.

Nuty rocznie 1 25 c. — półrocznie 65 c. — ćwierćrocznie 35 c.

W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Mikołajska, 451, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni J. Czecha.

We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w ajencyi „Czasu".

W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.

Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa**, należy przesyłać wprost do Redakcyi.

Reklamacje niеopieczętowane nie opłaca się.

Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

Kraków. — W drukarni c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1867